

SPRAWA „JEDENASTKI”

RELACJE KAROLA MODZELEWSKIEGO I ANDRZEJA WIELOWIEYSKIEGO

W czwartym numerze „Wolności i Solidarności” opublikowaliśmy blok materiałów o jednym z kluczowych, choć mało znanych fragmentów historii Solidarności – sprawy uwolnienia tzw. jedenastki. Jedenastu przetrzymywanych w więzieniu od 13 grudnia 1981 r. przywódców ruchu otrzymało od reżimu gen. Jaruzelskiego jesienią 1983 r. ofertę wyjścia na wolność pod warunkiem rezygnacji na dwa lata z działalności społecznej i politycznej. Przez kilka miesięcy toczyły się w tej sprawie negocjacje z udziałem przedstawicieli Kościoła, doradców Solidarności i członków dawnego KSS KOR. Po dyskusjach z doradcami więźniowie odrzucili propozycję generałów.

Dziś wracamy do tej historii w relacjach dwóch z jej uczestników. Przedstawione one zostały podczas spotkania promocyjnego „Wolności i Solidarności”, które odbyło się 28 listopada 2012 r. w Warszawie z udziałem Karola Modzelewskiego, Andrzeja Wielowieyskiego, Andrzeja Friszke i Jana Skórzyńskiego.

Karol Modzelewski:

Myszę, że w pierwszych dniach stanu wojennego, gdy jeszcze nie było wiadomo, jak rozległy i twardy będzie opór i jak bezwzględny będzie terror, generałowie rozważali, w ramach ostrzejszego wariantu, wytoczenie związanym z Solidarnością członkom Komitetu Obrony Robotników oraz internowanym „ekstremistom” z Komisji Krajowej procesu o spisek mający na celu obalenie przemocą – pod przykrywką działalności związkowej – ustroju PRL. Istotnie, pierwsze protokoły przesłuchania świadków w sprawie o „spiskową działalność niektórych działaczy NSZZ Solidarność” sporządzono w styczniu 1982 r. Wówczas jednak władze się nie zdecydowały na taki krok. Dopiero na początku września, pod wpływem irytacji wywołanej masowymi manifestacjami z 31 sierpnia, generałowie postanowili przenieść pięciu internowanych członków KOR na Mokotów i postawić im zarzut „przygotowań do obalenia ustroju”. 22 grudnia 1982 r. podobny, choć z pozoru groźniej brzmiący zarzut postawiono nam – czyli siedmiu pozostającym jeszcze w internowaniu członkom Komisji Krajowej (mieliśmy już przystąpić do dzieła i „podjąć próbę obalenia ustroju”). Bez takiego oskarżenia trzeba by nas było następnego dnia wypuścić na wolność, jak wszystkich internowanych, ale generałowie przekonali siebie samych, że jesteśmy zbyt groźni. W styczniu lub lutym nasz proces mógłby jeszcze posłużyć do legitymizowania stanu

wojennego jako obrony koniecznej przed spiskowcami, co się targnęli na ustrój, ale po roku był to już krok politycznie bezsensowny i po przeniesieniu nas do aresztu generałowie łamali sobie głowę nad tym, jak nas wypuścić bez utraty twarzy. Póki oni się nad tym zastanawiali, przesiadeliśmy w śledztwie jeszcze rok i osiem miesięcy (oprócz roku internowania).

Chyba w lutym 1984 r. przeczytałem w „Trybunie Ludu” (dostarczano ją do celi), że rzecznik rządu Jerzy Urban na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych oznajmił, jakoby „jedenastce”¹ zaproponowano zamiast procesu dobrowolny wyjazd za granicę. Była to wiadomość fałszywa; w każdym razie mnie nikt niczego podobnego nie proponował, więc nie mogłem zareagować ani w „zróżnicowany”, ani w jednoznaczny sposób. Postanowiłem teraz odpowiedzieć i napisałem do rzecznika rządu lodowato grzeczny list. Zwróciłem uwagę, że od blisko półtora roku pozostajemy w areszcie śledczym pod fałszywym zarzutem zamachu na ustrój, który w rzeczywistości dotyczy legalnej działalności związkowej. Co gorsza, w toku śledztwa Służba Bezpieczeństwa dopuściła się fabrykowania fałszywych dowodów (w tym czasie już czytałem akta sprawy, więc wiedziałem, co piszę). Nie jestem zainteresowany uniknięciem sądu, lecz publicznym procesem, w którym fałszywy zarzut zostanie obalony, a fałszywe dowody zdezurowane. Rozumiem, że rząd chciałby uniknąć takiego procesu, ale nie może w tym liczyć na żadną pomoc z mojej strony.

Odpowiedzi oczywiście nie dostałem, ale na widzeniu adwokackim odtworzyłem list z pamięci i dałem adwokatom (z myślą o przekazaniu miarodajnym kręgom związkowym i o publikacji w drugim obiegu). List mój wykluczał jednak nie tylko zgodę na wyjazd, czego nam władze oficjalnie nigdy nie zaproponowały. Wykluczał również to, co nam faktycznie w dwa miesiące później zaproponowano.

Trzeba podkreślić, że od chwili przeniesienia nas z Białołęki na Mokotów, gdzie obowiązywał rygor izolacyjny, straciliśmy bardzo ważny kanał kontaktu

z kolegami działającymi na wolności, jaki utrzymywaliśmy za pośrednictwem księży, którzy sprawowali nad nami opiekę duszpasterską – nad wierzącymi i niewierzącymi, bez dyskryminacji – a przy okazji nosili nam grypsy i inne rzeczy. Jeden z tych księży został oskarżony po latach lustracyjnie, ale grypsy, które przechodziły przez niego, nigdy nie zostały zdradzone ani mój kontakt osobisty z jednym z członków Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność – także utrzymywany za jego pośrednictwem. On był jednym z ogniw łańcuszka. Ludzie z tego łańcuszka nie zostali zdradzeni, łącznicy nie zostali nigdy aresztowani, więc to nie jest tak prosto, że jak ktoś rozmawiał z bezpieką, to rozmawiał o wszystkim, a nic nie zatajał.

Wzięto nas na rozmowy z naszymi doradcami znienacka. Nie było zwyczaju w tym pawilonie, żeby aresztantowi mówić, dokąd go prowadzą (przeważnie zresztą brali na przesłuchanie). Poza Adamem Michnikiem, któremu narzeczona na widzeniu powiedziała, co będzie, myśmy nie wiedzieli. Ale w nietypowym dniu przyszedł klawisz, kazał się namydląć – mnie jednemu z całej celi; a poprzedniego dnia byliśmy goleni. No, takich cudów to jeszcze nie było, żeby w więzieniu fryzjer codziennie golił! Potem znowu wszedł ten sam klawisz i mówi: „Co macie do ubrania?”. Trochę się przestraszyłem, bo pomyślałem, że ktoś umarł w domu i będą mnie wozić, abym oglądał zwłoki (taką procedurę zastosowano wobec jednego ze współwięźniów). Powiedziałem: „Mam to, co na sobie”. „To się jakoś ochędoźcie” – usłyszałem. No to całkiem niedobrze – pomyślałem, po czym klawisz mnie wyprowadził.

Na korytarzu oficer śledczy, por. Breitkopf z Biura Śledczego MSW, sprowadza mnie na dół i prowadzi przez pawilony w stronę wyjścia. Ja pytam: „Co, jest widzenie?”. „Nie, nie”. „Co, adwokackie?”. Też nie. Na adwokackie zresztą tajniacy nie prowadząją. „To co jest?” – pytam. „Zobacz pan. Nie powinien być pan niezadowolony” – odpowiada. Po czym prowadzą

¹ Byli to: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski i Jan Rulewski oraz Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Wujec i Zbigniew Romaszewski (red.).

Rulewskiego i go nie chowają, a normalnie to nas izolowano, żebyśmy się nie mogli zobaczyć. Na dziedzińcu wsadzają nas do furgonu z napisem Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych. Jedzie z nami ośmiu tajniaków, przypięli sobie pistolety pod pachę, żebyśmy widzieli, że nie są bezbronni, z tyłu jeszcze warszawa na prywatnych numerach, załadowana tajniakami. Pytają o imię ojca i tak dalej, otwierają bramę i wio! na Rakowiecką.

Na zewnątrz skręcamy w prawo. Janek Rulewski kompletnie oszołomiony, mimo że też już siedział poprzednio. Uznał mnie za bardziej doświadczonego i mówi: „Karol, gdzie nas wiozą?”. A był Wielki Piątek, więc odpowiedziałem: Jasiu, pewnie na święcone. Skręcamy w prawo w Puławską, zupełnie zbaraniałem, mijamy Komendę Główną milicji, jedziemy dalej, mijamy fabrykę Polkolor, zielono się robi... Wreszcie przywożą nas do Chylic, do willi bezpieczeństwa, w której na początku stanu wojennego trzymano Wałęsę, zanim doręczono mu postanowienie o internowaniu². (Najpierw liczono, że zostanie marionetkowym wodzem marionetkowej Solidarności, dopiero jak się stało jasne, że nic z tego nie będzie, dali mu nakaz internowania).

Rulewskiego gdzieś zabrali, ja jeszcze siedzę z tajniakiem, pytam, kto tu będzie, on mi mówi: „Wasi ludzie”. „Jacy nasi ludzie?”. „No, wasi – mówi. – Gieysztor, Wielowieyski”. Aleksander Gieysztor był moim mistrzem uniwersyteckim. Za chwilę słyszę: „Już może pan iść, panie Karolu”. Wysiadłem – i rzeczywiście Gieysztor wychodzi z tego domku, otwiera do mnie ramiona. Pierwszy mi Andrzej Wielowieyski powiedział, po co nas przywieźli, a z Gieysztozem to żeśmy sobie podyskutowali o czym innym, o regeście dokumentu krakowskiego biskupa Iwona, prawdopodobnie z 1222 r. Pisałem właśnie pierwszą wersję książki o chłopach w Polsce piastowskiej i potrzebowałem konsultacji w tej sprawie, spotkanie było więc jak znalazł. Potem przyszedł Wielowieyski i przyniósł mi serwolatkę. Zwróciłem mu uwagę, że jest Wielki Piątek. Pochwalił mnie za to i zaproponował śledzia,

ale śledzia to dostałem od pana naczelnika, więc wzgardziłem.

Wielowieyski pokazał to, co wynegocjowano. Chodziło o artykuł piąty ubiegłorocznej amnestii. Amnestia nas nie obejmowała, bo mieliśmy za poważne zarzuty. W ustawie był, jak to zwykle u generałów, zapis w rodzaju: nie obejmuje, chyba żeby objęta, więc postanowili, żeby nas objęta, pod warunkiem, że napiszemy list do prymasa i obiecamy mu, że przez dwa i pół roku po zwolnieniu powstrzymamy się „od działalności społecznej lub politycznej”. Wtedy w więzieniu byłem człowiekiem skłonny do tego, żeby nic w bawełnę nie owijać, choć sądy mam może za ostre; uznałem, że to jest taka łagodna forma lojalki, a żeby była strawniejsza, to ma być adresowana nie do generałów, tylko do prymasa. Nie tylko ja miałem takie wrażenie.

Ja od początku byłem przeciw, ale w sumie pięciu nas głosowało przeciw, a czterech oddało głosy, które można określić jako wstrzymujące się. Głosowanie było tajne, ale wszyscy wiedzą, jak kto głosował. Rulewski był wśród wstrzymujących się, ponieważ orientował się na tzw. prawicowych doradców, czyli na Jana Olszewskiego, który wtedy był prawicowy, potem zresztą też, a prawicowy wtedy znaczyło bardzo ugodowy wobec władz stanu wojennego. Otóż Janek Rulewski zanim jeszcze uległ doradcom, pokręcił głową i powiedział mi: „To jest sojusz pałki i pastorału”. Nie jestem wierzący, ale coś takiego nie przeszłoby mi przez gardło, ale Janek to dobry katolik, więc może jemu wolno. Zorientowaliśmy się w trakcie rozmów, że to jest ocena krzywdząca dla biskupów, a zwłaszcza dla naszych doradców, gdyż oni absolutnie z dobrą wolą podjęli starania o zwolnienie nas.

Jedno, czegośmy nie wiedzieli i co może wpłynęło na nasze dość twarde stanowisko, bo inaczej może byśmy mieli miękkie, to to, w jakim stanie znajdowało się podziemie. Mieliśmy dość duże iluzje na temat podziemia solidarnościowego. Te iluzje zostały umocnione przez moją ulubioną panią mecenas Aranę Kiszyńską z Wrocławia, która przyjechała

² Postanowienie o internowaniu, datowane na 12 XII 1981, Lech Wałęsa, więziony od 13 XII 1981, otrzymał dopiero 26 I 1981 (red.).

do mnie na widzenie na tydzień przed tymi rozmowami, nic o nich zresztą nie wiedząc, i opowiadała mi po prostu, co się dzieje we Wrocławiu (wówczas tam mieszkałem). Mówiła, że w Pafawagu w budynku dyrekcji zainstalowała się bezpieka, mają tam pokój i wołają na rozmowy ostrzegawcze pracowników, którzy są podejrzewani o kontakty ze strukturami podziemnymi. No i że szczególnie kobiety są bardzo pyskate, bo jak są tam wzywane, to wyciągają z torebek bieliznę, szczoteczki do zębów i mówią: „Proszę, jestem przygotowana, możecie mnie zamykać”.

Miałem więc dodatkową motywację, bo to dla mnie był bardzo ważny punkt odniesienia, ważniejszy nawet od Zbyszka Bujaka. Ja wiedziałem, że gdybym się zgodził na podpisanie, to Zbyszek byłby osłabiony, czyli TKK byłaby osłabiona, natomiast potem już uważałem, że to byłby cios dla tych kobiet. A ja bywałem w Pafawagu, przemawiałem tam na wiecach, choć nie znałem osobiście kobiet, które o szóstej rano jadą tramwajem i mają na wszelki wypadek bieliznę w torebce, bo nie wiedzą, co je spotka. To umocniło moją twardość.

Zawsze mi mówiono, że jestem zimno racjonalny. Dziwiła mnie ta opinia, ale istotnie starałem się rozumowo podchodzić do rzeczy. Racjonalnie rzecz ujmując, najważniejsze było to, że nasza kapitulacja przyczyniłaby się do moralnego rozbrojenia podziemia.

Gdy przyjechaliśmy do Chylic, okazało się że w podobnej willi w Otwocku, dokąd wożono korowców na spotkania z pozostającymi na wolności członkami KOR, nie ma Michnika. Przypomnę, że ja nie byłem w KOR. W latach siedemdziesiątych zajmowałem się swoim dorobkiem naukowym. Wcale nie żałuję, bo wtedy zarobiłem, że tak powiem, na swoją pozycję w zawodzie, ale w zasadzie nie prowadziłem – poza jednym czy drugim gestem – działalności politycznej. Natomiast w Solidarności jak najbardziej. Z tego powodu znalazłem się w siódemce członków Komisji Krajowej uhonorowanych oskarżeniem o zamach na ustrój. Nie było z nami Jurczyka, bo jako chory na serce leżał w szpitalu w Aninie. Natomiast spośród korowców nie było Michnika.

Początkowo korowców wożono do willi w Otwocku. Spotykaliśmy się osobno. Dopiero na konkluzywne posiedzenie, na którym się głosowało, spotkaliśmy się wszyscy razem w Chylicach. To piękne miejsce. Był tam uroczy, starutki pies, szary owczarek. Niestety, wolał Andrzeja Gwiazdę ode mnie. Przekarmialiśmy go oczywiście kiełbasą, którą panowie doradcy nam tam przywozili, i różnymi innymi wędlinami, ale Gwiazda robił to skuteczniej, był jakoś bardziej komunikatywny.

O tym, że Michnik odmówił rozmów, dowiedzieliśmy się chyba pod koniec pierwszego dnia albo następnego. Doradcy powiedzieli nam, że Michnik odmówił wyjazdu z więzienia. Po paru dniach ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wezwano mnie do pokoju przesłuchań, gdzie awansowany później przez Lecha Wałęsę na generała, a wówczas kapitan Wiktor Fąfara (autor trzech fałszywych zeznań na mój temat w tamtym śledztwie, które podyktował uległym świadkom) wręczył mi list – napisany, żeby to uwiarygodnić, na blankiecie biura prasowego pielgrzymki duszpasterskiej Ojca Świętego Jana Pawła II do ojczyzny i podpisany przez Wiesława Chrzanowskiego – takiej treści: „Panie Karolu, zwracamy się do pana z prośbą, żeby pan zechciał spotkać się z panem Adamem Michnikiem celem wyjaśnienia przyczyn jego odmowy udziału w spotkaniach jedenastki”. Powiedziałem, że się zgadzam.

Zabrano sąsiada Michnika z celi, kto to był, nie wiem, i wprowadzono do tej celi mnie. Adam był w naszym dosyć, powiedziałbym, fundamentalnym. Próbowaliśmy go namawiać, żeby jednak przyjechał, bo będzie raźniej, będzie łatwiej. Nie powiedziałem tego wprost, bo oczywiście wiedziałem, że jest podstęp, ale dałem do zrozumienia, że łatwiej się da przekonać innych, żeby nie podpisywać tego zobowiązania, ale Adam...

Trzeba wyjaśnić, na czym polegało zobowiązanie. Treść konieczna naszego listu do prymasa była taka, że mając na względzie dobro wspólne, „wrażamy gotowość zaniechania publicznej działalności politycznej w okresie do 31 grudnia 1986 r.”, czyli przez dwa i pół roku od zwolnienia z więzienia. Oprócz tego była wynegocjowana formułka, co należy rozumieć przez

publiczną działalność polityczną, definicja, która nie musiała wchodzić w treść naszego listu, ale ułożono ją po to, żebyśmy wiedzieli, do czego się zobowiązujemy. Była też przynęta w postaci mglistej obietnicy, że jak my damy ciała, to władze rozważą ewentualnie nową szeroką amnestię dla więźniów politycznych. A poza tym mogliśmy pisać do prymasa, co nam się podoba... Dla mnie to było dość ważne, gdyż byłem dyżurnym skrybą w Solidarności; jak doszło co do czego, to odmowny list do prymasa też ja musiałem napisać, i to w dodatku taki, który podpisałoby dziewięciu uczestników tego spotkania, tzn. „jedenastka” minus Jurczyk i Michnik. I to zarówno ci, którzy głosowali przeciw, jak i ci, którzy się wstrzymali, choć niektórzy może skłonni byłiby zagłosować za, ale się wstydzieli.

Michnik powiedział tak: „Uwięziony nie negocjuje”. Jedyne argumenty pragmatyczne, na który się powołał, był taki, że jego niezgoda na udział w rozmowach może oddziaływać silniej niż jego uczestnictwo w tym spotkaniu i argumentacja werbalna. Przypuszczam, że akurat w tej sprawie miał rację. Przeczytał mi także swój list do Kiszczaka, którego nie znałem³. List wydał mi się bardzo obraźliwy. Powiedział też, w jaki sposób się dowiedział, co nam mają zaproponować. Mianowicie na widzeniu powiedziała mu to, jak się wyraził, jego piękna narzeczona. To jest bardzo dzisiaj politycznie niepoprawne, ale trudno, powtórzę. Powiedział tak: „To jest – miał na myśli Basię Szwedowską, mamę jego syna – najmądrzejsza dupa świata, tylko ona jedno głupio robi, że się ze mną wiąże”. (Ona podzieliła później ten pogląd). Więc ona mu to po prostu powiedziała na widzeniu, w obecności tajniaka, otwartym tekstem. Gdy tajniak przerwał widzenie, to już było za późno, już zostało powiedziane.

Również gdy przyjechał Emilio de Olivares, to przypuszczam, że nikt z nas o jego misji nie wiedział. Zaproponowano mi do pokoju widzeń adwokackich. Myślałem, że będzie adwokat. Przyszedł jakiś pan i jakaś pani, która się przedstawiła jako tłumaczka

z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pan był dyrektorem gabinetu sekretarza generalnego ONZ Javiera Pereza de Cuellara. Mówił po hiszpańsku, ale znał też włoski, wobec tego powiedziałem tłumaczce, że nie musi się fatygować. Rozmawialiśmy po włosku. Sprawa była oczywista dla wszystkich, ponieważ propozycja Emilio de Olivaresa była w zasadzie dywersją wobec inicjatywy naszych doradców i biskupów. Była to propozycja wyjazdu, tyle że na czas określony – twardszym mówili, że na rok, a miększym, że na dwa lata. Nie wiem, jak oni to sobie wyobrażali. Ja powiedziałem, że nigdzie nie pojedę, de Olivares się zmartwił, powiedział, że szkoda, bo to są ludzie dobrej woli. Sekretarz generalny jest pełen dobrej woli, gen. Jaruzelski też, więc dlaczego my nie chcemy? Odpowiedziałem, że tacy już jesteśmy.

* * *

W sprawozdaniu Bronka Geremka⁴ mowa jest o tym, że się nie spodobało Józefowi Rybickiemu, że napisałem list do Urbana, bo Urban to jest taki człowiek, do którego się nie pisze. Nie wiem, dlaczego do Kiszczaka można, a do Urbana nie można. Ja do Urbana napisałem w słowach znacznie grzeczniejszych niż Adaś Michnik, ale w treści równie jednoznacznie.

* * *

Po głosowaniu na wspólnym spotkaniu w Chylicach trzeba było jeszcze napisać list do prymasa Polski. Pisałem go nie atramentem, ale wazeliną, a koledzy zaakceptowali. Kosztowało mnie to trochę wysiłku. Nie był to chyba najlepszy tekst, jaki napisałem w życiu, ale była to odpowiedź odmowna na propozycję sygnowane przez episkopat. Oczywiście, najpierw było głosowanie. Pięć głosów padło przeciw przyjęciu propozycji, cztery głosy to tzw. zetki – zastrzeżenia, czyli w gruncie rzeczy wstrzymujące się.

Kto namawiał do podpisania? Otwarcie, a nie w kuluarach – tylko płk Józef Rybicki. Miało to swój

³ Adam Michnik w liście z 10 XII 1983 do szefa MSW gen. Czesława Kiszczaka jednoznacznie odrzucił sugestię wyjazdu za granicę po uwolnieniu z więzienia. List został opublikowany 5 I 1984 w „Tygodniku Mazowsze” (red.).

⁴ Zob. B. Geremek, *Doradcy i więźniowie*, „Wolność i Solidarność” 2012, nr 4, s. 113–130 (red.).

pikantny wymiar, dlatego że Rybicki miał do Jana Rzepeckiego, swojego poprzednika na stanowisku prezesa Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (czyli szefa pierwszej komendy WiN), pretensje, że gdy go aresztowano, to on wezwał Gieysztorą do więzienia i wydał mu polecenie oddania dokumentów, broni i pieniędzy oraz ujawnienia struktury – za obietnicę władz, że nic się nie stanie nikomu oprócz samego Rzepeckiego. Ten układ z bezpieczeńką bardzo bulwersował wtedy Rybickiego, miał także pretensje do Gieysztorą, że się wycofał z podziemia i nie próbował nigdy do niego powrócić. Więc to, że właśnie Rybicki w 1984 r. uważał, iż powinniśmy zaakceptować propozycje władz, było pikantne.

Do przyjęcia namawiali też chyba doradcy pracownicy. Podejrzewam, że namawiał Jan Olszewski i Wiesław Chrzanowski. W gronie doradców mniej lub bardziej skłonni do przyjęcia tej propozycji w gruncie rzeczy chyba byli prawie wszyscy. Tylko Jan Józef Lipski podjął się – chyba na wniosek Seweryna Jaworskiego – dostarczyć opinię Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. A TKK oczywiście nie mogła nam powiedzieć, żebyśmy nadal siedzieli i zacisnęli zęby, bo tego wymaga sprawa przez duże S, tylko napisali tak, że powinniśmy się byli tego domyśleć, to znaczy: „zróbcie, jak uważacie, to wy siedzicie, a nie my”.

Dobrze, żeśmy nie podpisali, ponieważ i proces KOR, i – zwłaszcza – proces naszej siódemki z Komisji Krajowej był w 1984 r. strasznie niekomfortowy dla rządzącej ekipy. Oni dlatego tylko weszli w negocjacje, że szukali dla siebie jakiegoś wyjścia z twarzą, na którym mogliby nie stracić, a jeszcze w miarę możliwości propagandowo zyskać. Ale skoro myśmy się nie zgodzili, to nie mieli innego wyjścia jak amnestia. Amnestia na tyle szeroka, żeby w niej się zmieścić zarzut o próbę obalenia ustroju, jednak bardzo poważny.

Do amnestii doszło w lipcu 1984 r., jak to zwykle w PRL. W ostatniej chwili zatrzymali jednak Bogdana

Lisa i Piotra Mierzejewskiego i przywalili im zarzut o szpiegostwo, już zupełnie absurdalny. Wypuścili ich w grudniu 1984 r.

Amnestia w pewnym sensie była wynikiem tego, jak się zachowaliśmy, nie mając pełnego rozeznania w sytuacji na wolności. Nikt nam nie potrafił w tamtych okolicznościach tego krótko wytłumaczyć, a jeszcze w dodatku tak, żebyśmy w to uwierzyli. Moim zdaniem podziemie znajdowało się już w stanie rozsyпки i dość głębokiej degradacji. Wyszedłem z więzienia po amnestii, czyli niecałe pięć miesięcy później, na początku sierpnia 1984 r., i bardzo szybko się przekonałem, że we Wrocławiu, który swego czasu był miastem bardzo konspiracyjnym, stan podziemia jest żałosny, nie tylko ilościowo, ale przede wszystkim jakościowo. Gdybyśmy to wiedzieli, może byśmy się wahali, bo jednak dobrze jest wyjść z więzienia. Przecież nie wiadomo, może będzie proces, dostaniemy jakąś pajdę (czyli duży wyrok) – a tu można wyjść bez grzechu, bo Kościół ośłania, i jeszcze w dodatku przez dwa i pół roku nic nie robić, tylko średniowieczem się zajmować... Dla mnie po prostu pyszna perspektywa. Ale nie mogliśmy tego zrobić kolegom z podziemia i dziewczynom z Pafawagu. No i nasz upór otworzył bramy więzień setkom naszych kolegów.

Andrzej Wielowieyski:

Jaka była sytuacja w 1983 r.? Stan wojenny trwał już prawie dwa lata, jakoś ten pierwszy okres przetrzymaliśmy. Kilka elementów pozwoliło nam przetrwać. Po pierwsze czwórka przywódców Solidarności, która znalazła się w podziemiu, nie zrezygnowała – działała, zabierała głos i była obecna w świadomości społeczeństwa, może nie za szerokiej, ale była⁵. Po drugie był Lech Wałęsa, który choć izolowany i uwięziony, nie popełnił błędu, był dostatecznie bystry, przytomny i czujny, by nie dać się wciągnąć do współpracy z władzami. Byli też aktorzy i pisarze, artyści, którzy oddziaływali na świadomość społeczną swoim bojkotem

⁵ Mowa o Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność, która kierowała związkiem w podziemiu do października 1987. Założyli ją w kwietniu 1982 szefowie czterech regionów: Zbigniew Bujak (Mazowsze), Bogdan Lis (Gdańsk), Władysław Frasyniuk (Dolny Śląsk), Władysław Hardek (Małopolska), dołączył do nich Eugeniusz Szumiejko (jako członek Komisji Krajowej) (red.).

mediów państwowych. Trochę mniejsze znaczenie, nie tak już istotne, miała Prymasowska Rada Społeczna i jej tezy o warunkach ugody narodowej ogłoszone w kwietniu 1982 r.⁶ Napisałiśmy je razem z Wiesławem Chrzanowskim i episkopat je przyjął, w każdym razie prymas przyjął.

To były podstawy do tego, żeby w świadomości społecznej coś przetrwało, ale lata mijały, gen. Jaruzelski się umacniał, system trwał, w społeczeństwie przeważały postawy bierności, a Solidarność była coraz słabsza. Pozostawał problem ludzi aresztowanych, co najmniej kilkuset, wśród nich znajdowali się nasi czołowi koledzy – siedmiu członków Komisji Krajowej Solidarności i czterech członków Komitetu Obrony Robotników. Nie wiem, jak zostali dobrani, można było wybrać więcej, ale tych jedenastu wybrano trafnie. To były postacie znaczące dla świadomości społecznej. Próba namówienia ich do wyjazdu albo podpisania deklaracji o zaprzestaniu działalności opozycyjnej była z punktu widzenia władz koncepcją sensowną. Z drugiej strony episkopatowi zależało na samym podjęciu negocjacji między rządem a opozycją, a także na uspokajaniu sytuacji w kraju, żeby nie ponieść jeszcze większych strat. Takie było, jak sądzę, stanowisko większości biskupów i prymasa Józefa Glempa.

Byli wszakże również w gronie episkopatu ludzie tacy jak abp Bronisław Dąbrowski czy ks. Alojzy Orszulik, którzy dobrze wiedzieli, w co się gra, i zachowywali wielką przytomność umysłu i odwagę. W kwestii uwolnienia i załatwienia sprawy jedenastu działaczy władze próbowały rozmawiać tylko z niektórymi ludźmi Solidarności. Chciały wyeliminować z negocjacji Bronisława Geremka i Tadeusza Mazowieckiego, ale abp Dąbrowski twardo powiedział, że jeżeli rozmawiać, to z najbardziej liczącymi się doradcami Soli-

darności, w związku z tym oczywiście powinien być Geremek i Mazowiecki.

Spotykaliśmy się kilka razy. Problemem było to, że episkopatowi zależało na zawarciu porozumienia, więc zastanawialiśmy się, do czego można by się zobowiązać... Może nie wyjazd za granicę, ale rezygnacja z działalności politycznej – tak. To dość szybko zostało skorygowane przez doświadczonego negocjatora Wiesława Chrzanowskiego: proszę bardzo, możemy pomyśleć o tego typu deklaracji, ale tylko na rok albo dwa. Możemy zawrzeć jakąś doraźną umowę, ale przecież nie można od nikogo wymagać, by w ogóle zrezygnował ze swoich praw obywatelskich. Druga strona chyba to zrozumiała i przyjęła do wiadomości.

Przeczytaliśmy to, co napisał Adam Michnik w swoim liście z więzienia do gen. Kiszczaka, zrobiło to duże wrażenie. Zastanawialiśmy się, czy rozmowy na ten temat mają sens. W „jedenastce” też zdania były podzielone. Byli ludzie bardziej skłonni do ustępstw i zgody na wyrzeczenie się działalności przez rok lub nieco dłużej, ale generalnie biorąc i nas – niby mediatorów, choć przecież byliśmy działaczami Solidarności – i „jedenastkę”, ale także abp. Dąbrowskiego czy ks. Orzulika argumenty Adama przekonały. Jak pamiętam moje dłuższe rozmowy z Józefem Rybickim z KOR, którego znałem i byłem z nim w dobrych stosunkach, on też był przekonany, że Adam ma rację i nie należy ustępować. Może nie tak demonstracyjnie, nawet agresywnie, jak to robił Michnik, ale w każdym razie ani wyjazd za granicę, ani podpisanie rezygnacji z działalności społecznej nie jest tym, na co mogą sobie pozwolić przywódca istniejącej, działającej – chociaż pobitej – Solidarności. Pamiętam w każdym razie, że w trzech grupach: w „jedenastce”, wśród nas – doradców, bardzo różnych ludzi, i wśród tych kilku duchownych argumenty Michnika wyraźnie wygrały.

⁶ Prymasowska Rada Społeczna została utworzona przez prymasa Polski Józefa Glempa w końcu 1981 r. Weszło do niej 28 osób reprezentujących różne środowiska katolickie, m.in. Julian Auleytner, Olgierd Baehr, ks. Bronisław Dembowski, Andrzej Micewski, Krzysztof Skubiszewski, Jerzy Turowicz, Andrzej Wielowieyski, Czesław Zgorzelski, Stanisław Stomma (przewodniczący). Jej pierwsze posiedzenie odbyło się 12 XII 1981. Dokument pt. *Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej* ogłoszono 5 IV 1982. Przedstawiono w nim perspektywę ugody, której warunkami winno być z jednej strony uznanie podmiotowości społeczeństwa i reaktywowanie NSZZ Solidarność, a z drugiej uznanie wymogów ustrojowych i realiów geopolitycznych. Szerzej zob. A. Friszke, *Siedem lat przed Okrągłym Stołem. Prymasowska Rada Społeczna w stanie wojennym* [w:] *idem, Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Warszawa 2007, s. 330–345 (red.).